

92 dni zrównoważonego urlopu

SZU, SZU
W NIEMIECKIM LESIE

Postanowił, że przebędzie te 400 kilometrów na piechotę, a o drogę pytać będzie jedynie napotkanych ludzi

Niemcy na wakacjach.

Christine z mężem wychodzą o świcie w góry.

Steven uprawia ziemniaki na działce.

Michael przejechał na rowerze wzdłuż niemieckich granic, a Bernhard planuje wędrowkę wzdłuż niemieckich rzek.

Zaś Beate i Lutz biorą namiot i chodzą spać do lasu.

PORZĄDKU PILNUJE STRAŻNIK Z PSEM

Po zachodzie słońca, gdy ostatni spacerowicze opuszczają pograżający się w mroku las, Beate i Lutz zaszyli w niewielkim namiocie nadstawiając uszu.

– Nie, nie boimy się! – śmieją się. – A jeśli zamieramy, to z zachwytu! Bo las wolny od hałasu, jaki zazwyczaj wnoszą ludzie, dopiero wtedy zaczyna żyć swoim życiem. I wraz z nastaniem ciemności dochodzi ze wszystkich stron: „chrum, chrum, szu, szu, drap, drap, huu, huu”.

To nie jest tak, że Beate i Lutz nie stać na dobre hotele za 150 euro za noc. Pracują w renomowanym Instytucie Fizyki w Karlsruhe, ona na kierowniczym stanowisku.

– Ale podczas urlopu chcemy być z dala od cywilizacji – mówi Lutz. – A najlepszą odskocznią od laboratorium, eksperymentów, migających ekranów, buczących serwerów, jest dla nas wędrowka z plecakiem przez las. Odrywamy się w ten sposób od rutyny i odpoczywamy na świeżym powietrzu, w ruchu, w kontakcie z naturą. Podczas takiej włóczęgi wraca nam utracone poczucie wolności. Po prostu idziemy bez celu przed siebie.

Tyle że wolność trzeba sobie w Niemczech dobrze zaplanować. Bo w lesie nie można się ot tak rozbić, tam gdzie się chce.

– Nocleg rezerwuje się na stronie internetowej stowarzyszenia turystycznego – mówi Beate. – Musimy więc z góry wiedzieć, kiedy i którędy będziemy szli. Przykładowo w Lesie Pałatynatu, który zajmuje powierzchnię ok. 170 tysięcy hektarów, jest wyznaczonych 15 miejsc na biwak, a w każdym z nich można rozbić tylko cztery namioty. Wchodzi się więc na stronę, sprawdzamy, czy są wolne miejsca, i klikamy. Oplata wynosi 15 euro za namiot za noc. Wraz z potwierdzeniem rezerwacji dostajemy koordynaty GPS, gdyż miejsca biwakowe są z dala od szlaków.

Zazwyczaj to Beate wybiera trasę. Stara się, by po drodze były schroniska lub pensjonaty z restauracjami, bo po pierwsze, Lutz lubi dobrze zjeść, a po drugie, muszą się tam zaopatrzyć w wodę.

– Lasy są suche, niewiele w nich źródełek, wodę musimy więc ze sobą nieść, 5-6 litrów na głowę – tłumaczy Lutz. – Potrzebna jest do picia, ugotowania wieczorem posiłku, umycia się i na zrobienie rano śniadania.

Małżeństwo ma gotową, wspólnie przygotowaną pięciostronicową listę, osobną na lato i zimę, według której pakują się od lat. Jest na niej sprzęt za dobrych kilka tysięcy euro, bo cenią go bardziej niż modne ciuchy czy designerskie buty: markowy namiot, maty, śpiwory, kuchenka na gaz, ubrania przeciwdeszczowe, kijki i małe urządzenie satelitarne, przez które można wysłać sygnał o pomoc.

– W plecaku musi być też składana miska do mycia i prania – mówi całkiem poważnie Beate.

Spakowani Lutz i Beate wsiadają w Karlsruhe w pociąg i jeśli akurat urlop spędzają w Lesie Pałatynatu, to już po kilkadziesiąt minutach i dwóch przesiadkach lądują na szlaku.

– Wędrujemy zazwyczaj powoli, dajemy sobie kilka dobrych godzin na maksimum 10 kilometrów – opowiada Lutz. – Po drodze się zatrzymujemy, robimy zdjęcia, słuchamy ptaków. A gdy dojdziemy do biwaku, rozbijamy namiot, myjemy się, gotujemy albo wyciągamy z plecaka chleb, mielonkę, a czasem nawet dobre wino. Przed snem czytamy i robimy notatki.

Leśne noclegownie są całkiem zwyczajne. Na wyznaczonym terenie jest miejsce na namioty, ognisko oraz wychodek, gdzie stoi wiadro z wapnem.

– Co ważne, jest czysto – podkreśla Beate. – Zazwyczaj turyści sprzątają po sobie i zabierają śmieci. Są zdyscyplinowani, bo każde miejsce ma swojego opiekuna, który mieszka w pobliskiej wsi czy miasteczku i zagląda, by sprawdzić, czy wszystko gra. A najczęściej pojawia się w towarzystwie dużego psa, tak na wypadek kłopotów.

Niekiedy się zdarza, choć rzadko, że Beate i Lutz są na miejscu noclegowym zupełnie sami. I wtedy, jak mówią, jest im najlepiej. Nie rozpalają ogniska, lecz siedzą w namiocie przytuleni i w milczeniu wsłuchują się w las. Po 25 latach małżeństwa nie potrzeba im zbędnych słów.

I ŻE CIĘ NIE ZADEPCZĘ

33-letni Steven Hille z Berlina, podróżnik, dziennikarz i autor bloga o zrównoważonej turystyce Funkloch (Poza zasięgiem), śmieje się, gdy pytam go o tegoroczny urlop.

– Nie uwierzysz, ale spędziłem go na wrywaniu chwastów i uprawianiu ziemi – odpowiada Steven. – Dwa lata temu, gdy urodziła się moja córka, kupiłem w pobliżu berlińskiej dzielnicy Pankow działkę o powierzchni 500 metrów kwadratowych. Stoi na niej niewielki dom z kamienia, doskonały na upały, w którym zgodnie z prawem wolno mi mieszkać wraz z najbliższą rodziną podczas urlopu i weekendów. Posadziłem na działce kartofle, cukinie, pomidory, kalarepkę, dynię, topinambur, porzeczki, jabłonie, wiśnie i ziola. I mam własne zbiory! A nawet tak dużo, że niektóre warzywa i owoce rozdaję przyjaciółom. Gdy byłem mały, potwornie męczyły mnie wyprawy na działkę z rodzicami. Dziś z fascynacją przyglądam się rosnącym roślinom i nic mnie tak nie relaksuje jak grzebanie w ziemi. Nie mówiąc już o tym, że pobyt na takiej miejskiej działce to

jeden z najbardziej zrównoważonych sposobów na spędzenie urlopu – produkuję wtedy najmniej dwutlenku węgla.

Steven jest zakreślony na punkcie ekologii i redukcji CO₂. Chce pozostawić po sobie na Ziemi jak najmniejszy ślad. Martwi go, że przyrodnicze atrakcje turystyczne są rozdeptywane przez ludzi, którzy w dodatku tłumnie przylatują w takie miejsca samolotami. „Przecież powinno nam zależeć, by zachowały dziewiczy stan. Czemu je więc niszczymy?” – zastanawia się Steven. Dlatego, jeśli sam wybiera jakieś miejsce na odpoczynek, stara się, by jego podróż i pobyt nie wyrządziły szkód naturze.

– Gdy planuję urlop, sprawdzam z góry, czy da się tam dojechać koleją albo rowerem – opowiada Steven. – Jeśli nie, korzystam z ofert współdzielenia samochodu (car-sharing), autostopu lub wynajmuję elektryczne auto. Choć ta ostatnia opcja wciąż wiąże się z logistyką, bo nadal mało jest miejsc, w których można samochód doładować. A jeśli konieczna jest przeprawa drogą morską, próbuję się tam dostać żaglówką.

Na nocleg Steven zatrzymuje się w rodzinnych pensjonatach, chce bowiem, by pieniądze trafiły do mieszkańców regionu. Z tego samego powodu jada w lokalnych knajpkach, a nie w sieciowych fast foodach.

– Owszem, zrównoważone podróże nie należą do najtańszych, no ale redukcja emisji CO₂ kosztuje – wzdycha Steven. – Dwutygodniowy pobyt w małym ekologicznym hotelu z 3-4 gwiazdkami to w Niemczech wydatek około 2 tys. euro. Lecz jeśli mam ograniczony budżet, korzystam z kempingów, gdzie za nocleg w namiocie płacę 30 euro za dzień, sal zbiorowych w schronisku za podobną cenę czy w ramach międzynarodowej akcji gościnności – z darmowego noclegu u prywatnych osób (couch surfing).

Gdy pytam Stevena o przepis na udany urlop, odpowiada, nie wahając się ani chwili: – Wcale nie trzeba wyjeżdżać gdzieś daleko. Mój ukochany region Uckermark, pełen wzgórz, jezior, rzek, na północnym wschodzie kraju związkowego Brandenburgia, leży rzut beretem od Berlina. Jadę tam koleją, której jestem wielkim fanem, a na miejscu wypożyczam rower lub kajak. Chętnie chodzę też na wędrowki z przewodnikiem, by się dowiedzieć czegoś o okolicznej przyrodzie, na przykład rosnących tam ziołach. Nocuję w gospodarstwie ekologicznym zaszytym wśród łąk, poza zasięgiem sieci telefonicznej. Nie chcę, by koncert ptaków i poranna kawa na tarasie zakłócały mi jakiegokolwiek media społecznościowe, SMS czy mail.

STARY CZŁOWIEK NAD RZEKĄ

Jak to jest podróżować bez dostępu do najnowszych technologii – nawigacji, cyfrowych aplikacji, a nawet papierowych map – przekonał się na własnej skórze Bernhard Weiland, emerytowany już urzędnik ds. socjalnych miasta Hanower i aktywny kontrabasista akustycznego trio foreverandtheday. Któregoś desz-

JOANNA STRZAŁKO





*Co chwila
przystaję
i przyglądam się
mijanym mostom,
mostkom,
kanałom,
zaporom wodnym,
groblom,
tamom*

czowego dnia, gdy siedział na wrzosowiskach w swojej przyczepie kempingowej, zamarzyła mu się wędrówka z Hanoweru do Bad Muskau (pol. Mużaków) położonego przy polskiej granicy, tam gdzie znajduje się park Mużakowski wpisany na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Postanowił, że przebędzie te 400 kilometrów na piechotę, a o drogę pytać będzie jedynie napotkanych ludzi. Ot, takie wyzwanie.

– I nawet mi się to udało – śmieje się Bernhard. – Tylko czasami, w pierwszym odruchu przechodnie kierowali mnie w kierunku autostrady. Dopiero po chwili docierało do nich, że przecież jestem bez samochodu. Niekiedy trudno było mi też znaleźć nocleg, bo mieszkańcy nie zawsze się orientowali, co się dzieje w ich okolicy – ktoś polecał mi hotel czy pensjonat, a na miejscu się okazywało, że ten nie istnieje już od lat. Bywały więc dni, że musiałem się nieźle nachodzić, zanim wyciągnąłem się do snu.

– A raz wymyśliłem, że urlop spędzę na wędrówce przez Niemcy z osiołkiem – ciągnie Bernhard. – Już widziałem oczyma wyobraźni, jak sobie razem idziemy, a nawet gawędzimy po drodze. Okazało się jednak, niestety, że trzymanie takiego zwierzęcia w Hanowerze jest prawie niemożliwe – bo musi

• **Steven**
na żaglówce

• **Michael**
Seeger
na czeskiej
granicy

• **Bernhard**
Weiland
nad rzeką

FOT. Z ARCHIWUM
PRYWATNEGO

mieć towarzystwo – najlepiej innych osiołków – no i za bardzo hałasuje. Podałem się więc, a dzieci kupiły mi na pocieszenie pacynkę, która odtąd jeździ ze mną po świecie. W przeciwieństwie do mnie się nie starzeje, nie ma zmarszczek, brzucha, problemów z prostatą czy stawami kolanowymi. Razem jest nam różniej i łatwiej nawiązujemy znajomości z napotykanymi ludźmi. A to jakieś dziecko mnie zaczepi, a potem do rozmowy włączą się rodzice, a to ktoś zagai z ciekawości, co to za facet z siwą brodą, plecakiem i pacynką u boku.

Bernhard od zawsze tak miał – co chwila pochłaniała go jakaś idea podróży, którą zaraz próbował wcielić w życie. A że z wyboru od ponad 30 lat nie mają z żoną samochodu, ich ulubionym środkiem transportu jest rower. To na nim podczas urlopu żona Bernharda samotnie pokonała Afrykę Wschodnią i Zachodnią, a on dotarł z Hanoweru do Maroka.

– A moja najnowsza podróż wiedzie przez Niemcy wzdłuż rzek i to one wytyczają mi drogę – mówi Bernhard. – Projekt nazwałem „Stary człowiek nad rzeką”, bo przykro przyznać, ale mam już 71 lat. Tym razem korzystam z aplikacji i mam na trasie zarezerwowane noclegi, co nie podoba się mojej żonie. Krytykuje mnie za ten brak spontaniczności.

– Cztery tysiące kilometrów trasy podzieliłem na pieszo-rowerowe etapy – ciągnie Bernhard. – Daję sobie na to kilka lat. Nie chcę się spieszyć, bo trasa jest fascynująca. Co chwila się zatrzymuję i przyglądam mijanym mostom, mostkom, kanałom, zaporom wodnym, groblom, tamom. Uświadamia mi to olbrzymi wysiłek, jaki ludzie od wieków wkładają w walkę z przyrodą. I powiem szczerze: mam mieszane uczucia. Wiem, że w ten sposób próbujemy się chronić przed powodzią, że osuszamy mokradła, bo potrzebujemy coraz więcej ziemi pod uprawy. Ale zastanawiam się też, czemu nie pozwalamy płynąć rzekom ich własnym korytem. Czemu zmuszamy je, by spełniały nasze rozkazy? Przecież moglibyśmy sami się od czasu do czasu cofnąć i dać więcej miejsca naturze. Tak niewiele zostało już dzikich miejsc!

Kilka pierwszych odcinków podróży wiodło Bernharda wzdłuż Łaby, Wezery, Humme. Kolejne mają go zaprowadzić m.in. nad Odrę, Ren, Men i Dunaj.

– W jakim stanie są rzeki, które już widziałeś? – pytam Bernharda.

– Nie jestem naukowcem, trudno mi więc ocenić – odpowiada Bernhard. – Tak na oko nie widać przecież, czy są zatrute i jakiej jakości mają wodę. Czytam gazety, więc wiem, co stało się z Odrą – za

jakiś czas przekonam się o tym na własne oczy. Tymczasem wędkarze, z którymi rozmawiałem po drodze, mówią, że naszym rzekom jest lepiej niż przed laty, że są czystsze i że jest w nich więcej ryb.

Na niektórych odcinkach wzdłuż Łaby Bernhard musi się wdrapywać na wysoki na kilka metrów wał, by dojrzeć samą rzekę. Siada wtedy z pacynką na ławce, a widok wielkiej, dostojnej, niezmiętej wody przynosi mu ukojenie, tak potrzebne, jak mówi, w świecie szalonych zmian.

– A nie doskwiera ci samotność? – dopytuję.

– Cenię sobie takie samotne podróże – odpowiada. – Jestem wtedy otwarty na drugiego człowieka. Gdziekolwiek byłem na świecie, spotykałem same dobre, życzliwe, pomocne osoby. I nigdy nie zdarzyło mi się nic złego. Może miałem szczęście, a może wcale nie jesteśmy aż tacy źli?

W 50 DNI DOKOŁA NIEMIEC

Michael Seeger nie miał tyle szczęścia co Bernhard do ludzi. Podczas wyprawy, którą nazwał „Objechać Niemcy na rowerze”, nieraz dawali mu się we znaki.

– Szczególnie na terenach byłego NRD – opowiada Michael, który pochodzi z Fryburga w Bawarii. – Tam ciągle ktoś się mnie czepiał i dawał mi burę, gdy nie trzymałem się ścieżki rowerowej. A gdy w deszczowy dzień wszedłem do knajpy na kawę, powiedział, że w takim stroju to mogę ją sobie wypić na dworze. Ale i na granicy z Luksemburgiem miałem złe doświadczenia. Termometr pokazywał tego dnia 32 st. C. Wyczerpany upałem poprosiłem w mijanej restauracji, by kelnerzy nalali mi do butelki wody. A oni odmówili!

Są takie chwile w życiu, gdy ktoś opowiada o swojej podróży, a nas nagle przechodzi dreszcz, jakby piorun w nas trafił. Właśnie tak poczuł się Michael, gdy nauczycielka ze szkoły, w której on też pracował, zwierzyła mu się, że planuje objechanie kraju na rowerze.

– Wróciłem zelektryzowany do domu, wyciągnąłem mapy i policzyłem, że do przejechania jest 5 tysięcy kilometrów. – opowiada Michael. – Postanowiłem, że jadę. I dałem sobie na to 50 dni – byłem w świetnej formie fizycznej i nie bałem się takiego wyzwania. Kilka miesięcy później ruszyłem w trasę. Był słoneczny wrześniowy dzień. Wyszedłem przed dom i sprawdziłem, w którym kierunku wieje wiatr. Wiał z zachodu. Ruszyłem więc na wschód.

Przed wyprawą Michael nie lubi za dużo planować, rezerwować, sprawdzać. Za to wiele wysiłku wkłada w naukę języków obcych i dialektów. Zależy mu, by móc się porozumieć ze spotkanymi po drodze osobami. Z jego doświadczenia podróży po niemal wszystkich kontynentach wynika, że „rozmowa w tym samym języku” otwiera wiele serc. Jednak na trasie wokół Niemiec niewiele spotkał ludzi, na których mógł wypróbować swoje umiejętności lingwistyczne. Jedynie Jana z Czech, który zresztą doskonale mówił po niemiecku, oraz paru niemieckojęzycznych Belgów i Holendrów. Jadąc wzdłuż polskiej granicy, nie spotkał żadnego Polaka.

– Zaskoczyło mnie, jak puste i dzikie są przygraniczne tereny – opowiada Michael. – A przydrożne wsie czy miasteczka, jeśli są, to wyglądają, jakby czas stanął tam w miejscu dawno temu. Bez względu na to, czy to była Szwajcaria, Austria, Czechy, Polska, Holandia, Belgia czy Luksemburg, czuło się tam samotność i marazm. Trzech mężczyzn, z którymi wdałem się w rozmowę we wschodniej Belgii, opowiedziało mi, co to znaczy mieć dom na przygranicznych terenach, gdy wielka polityka przetacza się przez twój próg. To są przygnębiające historie. Po powrocie pożyczyłem w bibliotece książki i zacząłem zgłębiać temat.

Kolejną podróż, już bez roweru, Michael planuje do Argentyny. Będzie spontanicz-

nie, z omijaniem atrakcji turystycznych, w poszukiwaniu autentycznych miejsc i ludzi. To jego zdaniem składniki udanej wyprawy. No i czas, i pieniądze. A to akurat nie stanowi już dla niego problemu. Jest w końcu byłym nauczycielem.

KAMPER ZNACZY WOLNOŚĆ

Christine wciąż jest aktywna zawodowo, ale ma 92 dni urlopu. Jeszcze rok temu miała o jedną czwartą mniej. Dodatkowe dni zawdzięcza związkom zawodowym niemieckiego przemysłu chemicznego, dla którego pracuje. Należą one do najsilniejszych w kraju. I co roku, w październiku, negocjują warunki zatrudnienia z pracodawcami.

– Zazwyczaj te rozmowy przynosiły, nam, pracownikom, coś dobrego – dostawaliśmy kilkuprocentowe podwyżki, 24 dni dodatkowego urlopu dla osób, które pracują na trzy zmiany i ukończyły 55 lat, spore rabaty na zakupy czy członkostwo w klubie fitness – opowiada Christine. – Ale w tym roku martwię się, że właściciele przedsiębiorstwa pozabierają nam niektóre przywiłeje. Mogą przecież powiedzieć: „Na rynku jest kryzys i nie stać nas na opłacanie pensji osobom, które trzy miesiące spędzają na urlopie – musimy więc odebrać wam część wolnych dni”. A to byłby dla mnie dramat!

Bo Christine najlepiej czuje się 500 kilometrów od domu, w Alpach. I gdy tylko przychodzi urlop, wskakuje z mężem do kampera, wciskają gaz i pędzą na południe Niemiec. Mąż ma mnóstwo wolnego czasu, bo od kilku lat nie pracuje, jest więc w każdej chwili gotowy na wyprawę. Miał dość stresu, a że odłożył sobie trochę euro na czarną godzinę, rzucił robotę. Umówili się z Christine, że odtąd to on będzie się zajmował domem.

– Właśnie z tej miłości do podróżowania zdecydowaliśmy się podczas pandemii na kupno kampera – opowiada Christine. – Kosztował niemało, bo 60 tysięcy euro, ale gdy zamknięto hotele, pensjonaty, górskie schroniska, pomyślałam, że mnie rozniesie, jeśli podczas urlopu będę musiała siedzieć zamknięta w czterech ścianach domu. Mąż był za.

Wyprawy kamperem dają Christine poczucie wolności. Nie czuje presji, że musi gdzieś na czas dojechać, mogą więc z mężem snuć się po bocznych wiejskich drogach, omijając autostrady, albo spontanicznie zdecydować się na pobyt w mijanym miasteczku. Nie ma też wyrzutów sumienia związanych z nadprodukcją CO₂, bo jej zdaniem kamper wpisuje się w zrównoważoną turystykę.

– W kamperze mamy własną pościel, ręczniki, nikt nie musi po nas sprzątać czy prac jak w hotelu – tłumaczy Christine. – Na dachu zainstalowaliśmy baterie słoneczne, które produkują prąd na 2-3 dni. Jeśli nocujemy na kempingu, to w ramach opłaty (30-40 euro za noc dwóch osób z kamperem) dostajemy kartę rabatową, która uprawnia nas do darmowych przejazdów lokalnymi środkami transportu – pociągiem czy autobusem. Można na nią również wejść do muzeum, dostać zniżki w restauracji i na zakupach. Mamy więc do wyboru, w zależności od pogody – elektryczne rowery (które zawsze, tak jak i ekspres do kawy, zabieramy ze sobą) lub regionalną infrastrukturę. Bo kampera, gdy już dojedziemy do celu i zaparkujemy, nie ruszamy.

Ale najważniejsze podczas urlopu są wyprawy w góry. Nic nie daje Christine takiej radości jak zdobycie górskiego szczytu. – Wychodzimy z mężem o świcie, zanim ruszą tłumy – opowiada. – Idziemy szybkim krokiem i nie zatrzymujemy się po drodze. Chcę na wierzchołek dotrzeć przed innymi. Uwielbiam siedzieć tam w samotności i w ciszy przyglądać się światu z podniebnej perspektywy. Uspokaja mnie to. Nabieram w ten sposób dystansu do problemów oraz siły, by się z nimi mierzyć. Potem mogę już schodzić w dół. ●

TO, CO ODCZUWASZ JAKO KONIEC,
MOŻE STAĆ SIĘ POCZĄTKIEM

Zmiana życia na lepsze jest możliwa



JAK ŻYĆ Z LĘKIEM

poradnik

”

To książka pełna praktycznej wiedzy i życzliwości, którą każdy- lękowiec i nie- powinien mieć na swojej półce. Jako osoba zmagająca się z zaburzeniami lękowymi mogę powiedzieć z całym przekonaniem, że dawno nie czułam się tak zrozumiana. Warto zagrać w "grę o lepsze życie", którą proponuje autor, bo co mamy do stracenia, poza lękiem?

Agnieszka Jucewicz

KSIĄŻKA JUŻ W SPRZEDAŻY!

DO NABYCIA W KSIĘGARNIACH ORAZ NA  KULTURALNY SKLEP.PL
W FORMIE E-BOOKA / AUDIOBOOKA NA  publio.pl

 Wydawnictwo
Agora